Cena 15 zł

RÓZGI BIJĄ CO TYDZIEŃ

W NUMERZE:
Z. Fijas
J. Huszcza
M. Samozwaniec
Wł. Słobodnik
St. Sojecki

Rok II | 31 sierpnia 1947 r. | Nr 36 (56)

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Hymn jesienny

O smutku domów łódzkich i jesiennych kałuż!
Ostatnie liście wicher z drzew sierocych zwiał już
I lecą jak ból złoty.

Rozumiem teraz smutek panny uwiedzionej,
której starszy jegomość obiecał perlony,
Lecz dać nie miał ochoty.

W zakładzie pogrzebowym wystawionych trumien
Wymowę sarkastyczną i smutną rozumiem.
To śmierć reklamowana.

Zachęca: „Ach, przechodniu, wyciągnij kopyta,
Wybornym drzewem piękna trumna cię powita,
Z jakości swojej znana!"

Jesienią, gdy w kominie wyje wiatr jak furia,
Rozumiem melancholię wszystkich nudnych biur ja,
Gdzie człowiek w biuraliście

Umiera. O te biura, o te smutne biura,
Gdzie kleks, jak czarna łezka, kapie codzień z pióra,
Gdy na bruk lecą liście.

Rozumiem smutek wszystkich, ach, niedrukowanych
Poetów zapoznanych, na biedę skazanych,
Których wiersze w śmietnikach,

Jak perły leżą, chociaż wierzą wieszcze owi,
Że „przyszłość — korektorka wieczna" wybronzowi
Postacie ich w pomnikach.

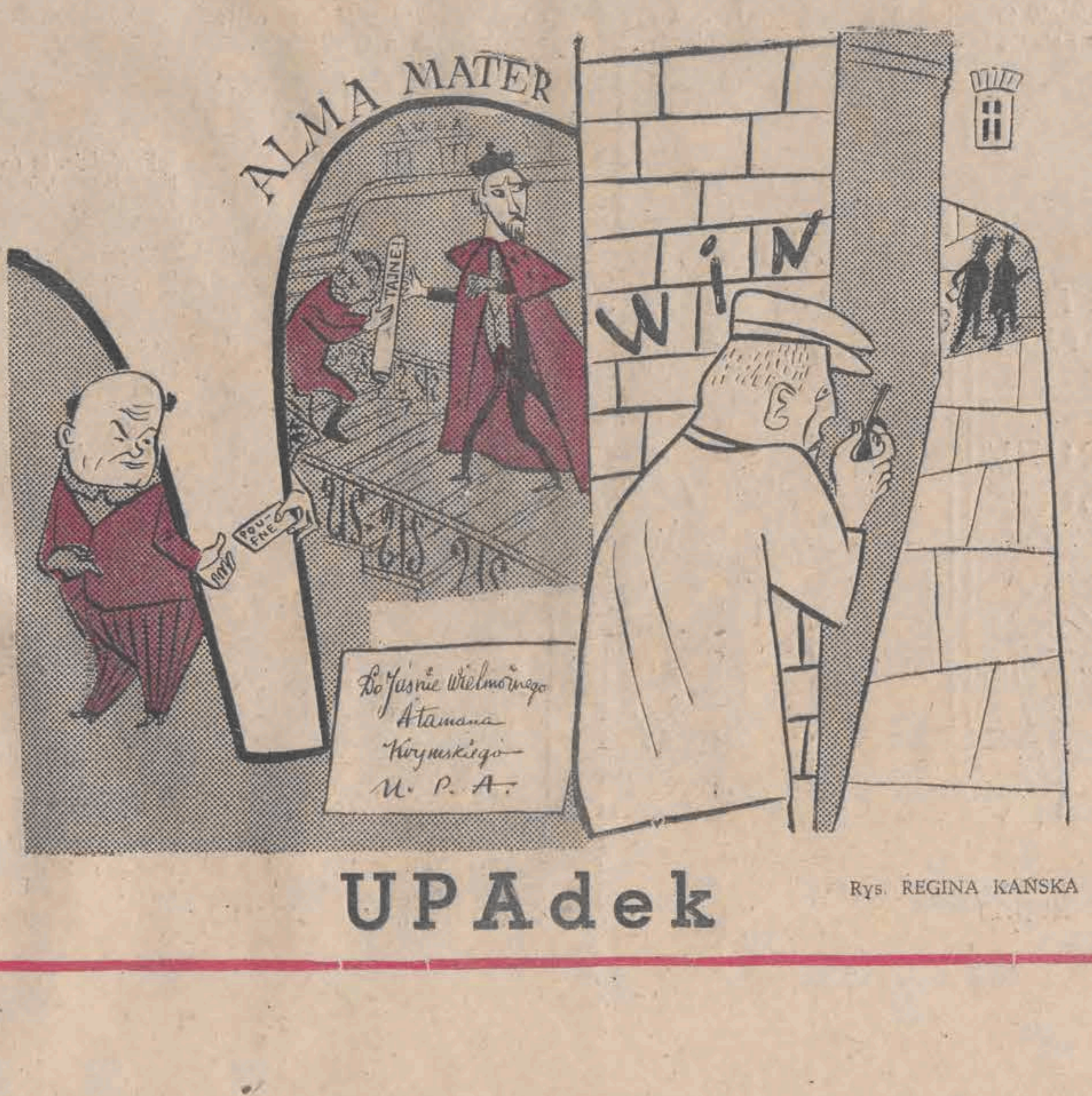
Rozumiem, dorożkarska szkapo zasmucona,
Że cały świat nie wypadł tobie spod ogona,
Twoje bolesne rżenie.

Rozumiem melancholię darmozjada w barze,
Gdy biedakowi kelner ostro płacić każe,
A on powiada, że nie.

O jesieni dęszczowa, tobie, jak śmierć zimnej
Poświęcam moje gorzkie i bolesne hymny,
A ty mnie uwieńcz za to.

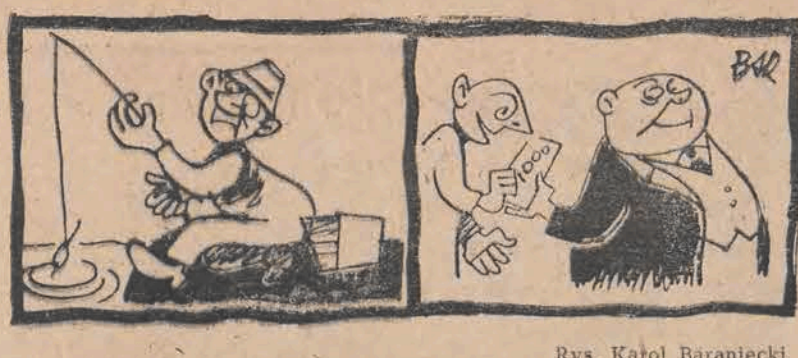
Wieńcem uwitym z twoich zwiędłych liści, bowiem
O laurach nie śmiem marzyć — i pod chmur ołowiem
Rzuć me nazwisko wiatrom!

PROCES SZPIEGOWSKI W KRAKOWIE UJAWNIŁ M. INNYMI KONTAKTY W.I.N u z U.P.A.



UPAdek

Rys. REGINA KAŃSKA



Rys. Karol Baraniecki

Ryba nie bierze „Ryba“ bierze

Różne nasze dzienne sprawy

W jednym z łódzkich parków zakwitła agawa. Fakt niebylejakiej doniosłości botanicznej, zdarzający się w Europie podobno równie rzadko jak np. wyrośnięcie włosów na dłoni. Ponadto nie bez dużego znaczenia moralnego.

— Z oczyszczaniem miasta — mówią sobie łodzianie — u nas nietęgo, z brukami i kanalizacją niebardzo, domy się walą, ale za to — agawa. Agawa zakwitła tylko w Łodzi. Więc jednak ten żarząd miejski coś robi!

I wraz z pięknym kwiatem agawy, przypominającym pokrajane jajko w zupie szczawiowej, rośnie uznanie dla ojców miasta.

* * *

Tak się złożyło, że okres bieżącego lata musiałem spędzić w mieście. Dobrze stało się z tą agawą, że zakwitła. Przynajmniej coś obejrzałem.

Felietoniści innych tygodników obejrzeli jednak ode mnie znacznie więcej. Jedni Ustkę, drudzy Sopot, inni Szklarską Porębę, Polanicę, Krynicę, Kudowę i tym podobne atrakcyjne miejscowości, których dziś w Polsce jest tyle, że trudno je wprost wyliczyć. Po obejrzeniu, niektórzy z nich dali, a jakże, swoim bystrym obserwacjom wyraz na piśmie. Dzięki temu czytelnicy dowiedzieli się o tym, co ich najwięcej interesuje. Że mianowicie wódka w Szklarskiej Porębie jest tańsza, niż w Sopocie. Że w Ustce o zgrozo, nie potrafią przyrządzać flądry à la Sardanapal. Że w Międzyzdrojach nie mają (sic!) porządnego parkietu dancingowego. Że „Hotel Grand“ to spelunka dla milionerów i dlatego felietonista X, oburzając się na lichwę i wzywając gromu z nieba tudzież komisji specjalnej, spędził tam dwa tygodnie. Że kuracjusze w Matejkowicach, to chamy, bo nikt nie wybiegł na stację, aby witać Ygreka, który właśnie w nocy zaszczycił swoją osobą itd.

Snobizm? Nieprawda. Ciężka, mozolna praca (mimo wczasów), by uczynić z własnego prywatnego pępka ośrodek publicznego zainteresowania.

* * *

P. Kisiel z „Tygodnika Powszechnego“ odprawił wczasy tout simplement na wsi. Coprawda nie zdał nam relacji, co tam robił, ale domyślamy się, iż odpasł się na mleczku i jajeczkach, wskutek czego nabrał takiej krzepy, iż czuje się na siłach dźwignąć świat („Związek Republik Świata“, „Tygodnik Powszechny‘ z dnia 24. 8. 1947).

Czy jajeczka jednak były nieświeże czy też mleczko pochodziło od „wściekłej krowy“, coś w każdym bądź razie zaszkodziło Kisielowi, kiedy „leje“ w felietonie, że „domorośli statyści „rozkładowo“ zapatrują się na sprawę niemiecką.

„Budująco“, zdaniem Kisiela, traktują kwestię np. Anglicy. Oto, jak oświadczył w pewnym wywiadzie nowy ambasador sir Donald St. Clair Gainer: ...„**stosunek Europy do gospodarki Niemiec winien być taki, jak stosunek wieśniaka do krowy: chcąc ją wydoić, trzeba ją nakarmić; przemysł niemiecki porównał ambasador do ognia. Wprawdzie zapaliła się od niego Europa, ale rozsądnie użyty, może Europę — ogrzać.**“

Wbrew namowom Kisiela, który widocznie bardzo przemarzł na wsi, i wbrew autorytetowi, na który się Kisiel powołuje, trudno, myślę, będzie nam nabrać zaufania do ciepełka niemieckiego. Być może, troszeczkę za bardzo nas ono grzało w piecach krematoryjnych. I dlatego też o rozpaleniu ognia niemieckiego, mogą marzyć tylko ci, którzy się na nim nie oparzyli.

P.S. A to porównanie Niemiec z krową jest w ogóle do luftu. Wszyscy przecież (oprócz Kisiela) wiedzą że chodzi o byka, który, gdy go się nakarmi, Europę po raz trzeci weźmie na rogi.

* * *

Na ulicach miast Polski wywieszono gablotki ze zdjęciami najfotogeniczniejszych z Oświęcimia.

„Przed gablotkami **gromadzą** się tłumy ludzi. **Raz po raz były** więzień rozpoznaje znienawidzoną twarz oprawcy“.

Gablotki takie **znajdują się** także i w Krakowie. P. Kisiel **powinien** je obejrzyć. Dobrze to bowiem i mądrze, gdy się zapomniało, przypomnieć sobie, jak wyglądają specjaliści od „centralnego ogrzewania„ Europy.

Mgr. Różdżka



JERZY ZAJĄCZKOWSKI

**Przyszli. Coś tam ględzili.
(Czort ich zresztą zrozumie!)
— „Mistrzu! Niech pan napisze,
Pan tak ładnie to umie“.**

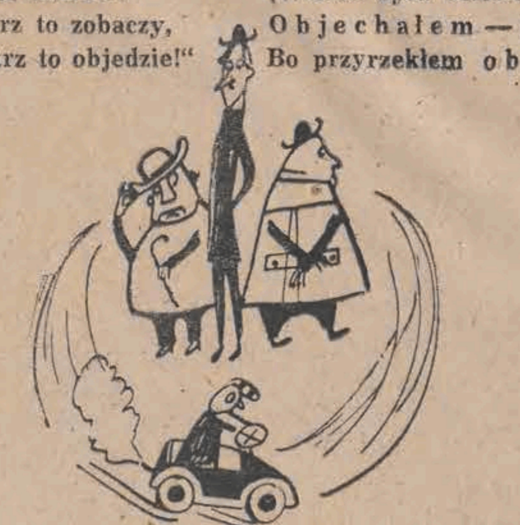
**— „Zrobiliśmy to i to,
Mimo ciężkie dziś czasy,
Więc, mistrzuniu, trzebaby
Coś by o tym do prasy“.**

**— „Mamy to, mamy tamto,
Rozrzucone po świecie.
Niechże mistrz to zobaczy,
Niechże mistrz to objedzie!“**

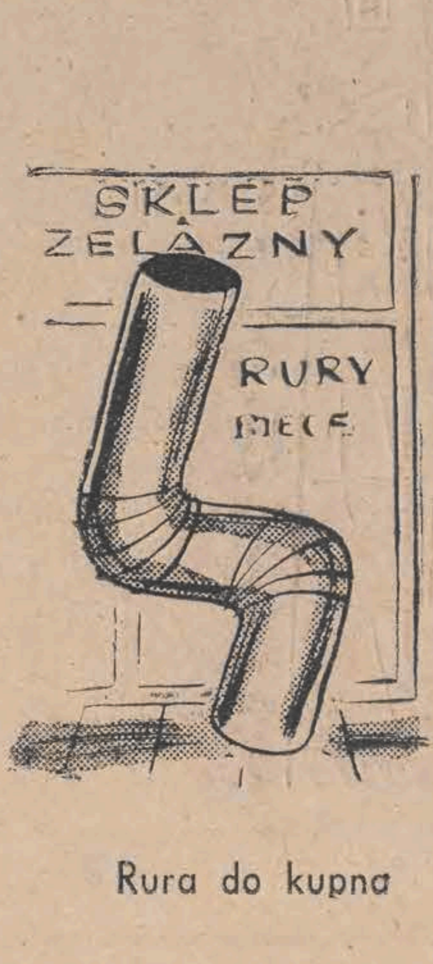
**Dali bilet bezpłatny
I zaliczkę i diety —
Miałem pean napisać
Lecz nie wyszło, niestety...**

**Jakoś ,psiakrew, widziałem
Coś innego, niż oni —
Zamiast ryczeć z zachwytu
Łzę musiałem uronić.**

**Objechałem objekty
(Wielka była uciecha!)
O b j e c h a ł e m — (naturalnie!)
Bo przyrzekłem o b j e c h a ć...**



Ilustr. Regina Kańska



Rura do kupna



Rys. Tadeusz Ulatowski

Kupiec do Ruhry

*

Powiadają, że po **denacyfikacji** hitlerowskich Niemiec, nastąpi szybko **depacyfikacja Europy.**

*

W przeciwieństwie do swego poprzednika, dr. Schumacher zaleca kobietom niemieckim politykę... **kopulacyjną.**

*

Ghandi ucził „niepodległość“ Indii... 24-godzinnym postem, pytając żałośnie: „Quo vadis, dominium?“

Siła kobiet leży najczęściej w jej — słabostkach.

*

Całus — to najpewniejszy środek ,by gadatliwej niewieście zamknąć usta.

*

Ongiś minstrel wyanielał białogłowę, dziś czyni to nie najgorzej — maska parafinowa. Mon Dieu, żyjemy w stuleciu udoskonaleń technicznych.

*

Mężczyzna poszukujący w kobiecie „czegoś więcej“ ,rzadko zasłuży na miano „uczciwego znalazcy“.

*

Pewien snob utrzymuje, że ożeni się tylko z dziewczyną, będącą jego stuprocentowym kontrastem. Nic łatwiejszego. Małoż to inteligentnych dziewcząt na świecie?

HORACY SAFRIN

Ilustr. Stanisław Cieloch

Halinka

Jan Huszcza

Bądźcie zadowoleni, że nie mieszkacie w Dopłacku!

Naprawdę, dziura, dla której trudno znaleźć porównanie. Przystanek kolejowy czy coś w tym rodzaju. Ma się rozumieć, niema kina. Samochód teatru objazdowego zatrzymał się tam tylko jeden raz: aktorzy poprosili o zsiadłe mleko, wypili je, zapłacili i pojechali dalej.

W sklepie spółdzielczym wisi obiecujący napis „przemysł dla wsi", ale cóż znajdziecie pod tym napisem: kilka zeszytów, pudełko z kluczami typu „yale", lornetkę i baterię wódek. „Yale" i lornetka leżą od roku, a dotąd nie zdarzyło się, żeby wieś, drżąc z zainteresowania, o nie zapytała...

— Tu chyba najczęstszą przyczyną śmierci jest nuda — powiedziałem z głębokim przekonaniem do gajowego, gdy los przypadkiem na kilka dni zapędził mnie do Dopłacka.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu, gajowy zaprotestował:

— Niekoniecznie, panie! Jest Halinka!

Zaprotestował i pociągnął mnie do okna:

— O, właśnie poszła z zawiadowcą...



W zachodzącym słońcu złocił się sosnowy las, tory kolejowe, połyskując, znikały wśród drzew jak kusząca obietnica życia, które gdzieś wre i kipi. Po nasypie szedł młodzieniec w czerwonej kolejarskiej rogatywce trzymając pod rękę dorodną, jak się zdala wydawało, roześmianą dziewczynę w barwnej sukience.

Kiedy zniknęli nam z oczu, usiadłem na ławce pod obrazami i zapytałem:

— I cóż ta Halinka?

Gajowy, zanim powtórzył pytanie, jeszcze raz cmoknął: — Szkoda słów, fajna dziewka! — Ale potem szybko się przeżegnał.

Więc z tą Halinką sprawa ma się przedstawiać następująco: młoda ładna dziewczyna, ale podobno strasznie się... no, tego tam, puszcza. Chodzi z różnymi chłopakami, przyczem zmienia adoratorów bardzo często. I, jak zdołałem wywnioskować, przede wszystkim nie dba o pozory. Mało tego, jest wyzywająca i nie słucha nauk moralnych, czyli — krótko mówiąc — wokół siеje zgorszenie.

A nauk moralnych, rzecz prosta, nikt jej nie szczędzi.

Zwłaszcza staruszki czyhają na okazję i gdy wraca z pracy w agencji pocztowej, do domu, zabiegają jej drogę, żeby poruszyć szlachetniejsze strony duszy. Cóż, kiedy ona za każdym razem w odpowiedzi wybucha śmiechem. To jeszcze bardziej skupia uwagę wszystkich na Halince.

Przed wieczorem cały Dopłack wychodzi przed ogródki z szałwjami, żeby zaspokoić swoją ciekawość: z kim też dzisiaj pójdzie Halinka na spacer?

Zrana cały Dopłack, wstając i drapiąc się we włochate pośladki, zajmuje się oceną jej postępowania.

Po obiedzie wszystkie matki Dopłacka stawiają Halinkę przed oczy swoich córek jako uosobienie niecnoty.



Niedawno powstało nawet Towarzystwo opieki nad moralnie upośledzonymi. Choć w punktach statutu, omawiających przyczynę powstania i cel Towarzystwa, nie wymieniono Halinki, to przecież wszystkie członkinie i wszyscy członkowie jasno rozumieją, o kogo chodzi.

Żeby zawrócić Halinkę ze złej drogi, na koszt Towarzystwa wycięto wszystkie drzewa w okolicy jej domu, co znakomicie ułatwia obserwację drzwi i okien do niej prowadzących.

Członkowie Towarzystwa kolejno chodzą na zwiady ścieżkami, po których Halinka, przed udaniem się na spoczynek, zwykła spacerować...

— No, a złapaliście ją choć raz, że tak powiem, na gorącym uczynku? — zapytałem, gdy już gajowy skończył swoje przydługie nieco opowiadanie.

— Ani razu, psiakrew!... kiedyś ciemnym wieczorem usłyszałem podejrzaną rozmowę, więc przycupnąłem pod chojakiem P.otem własnemi rękami złapałem za kieckę. Ale ,jak się okazało, to była Mieczyńska, żona naszego prezesa Towarzystwa, a i sama bardzo czynna. Powiedziała, że grzyby zbiera. Porządna i pilna kobieta. A z tą rozmową, to mi się widocznie coś ubrdało...

STANISŁAW SOJECKI

Opowieść o karjerze Ksawerego Pędraczka

Ksawery Pędraczek moc zalet miał w sumie:
Niemałe ambicje i polot i mózg —
Stąd czuł się Pędraczek nadzwyczaj źle w tłumie
I mowy nie było, by z tłumem się zrósł.

Do wyższych się celów stworzonym być mniemał:
Przewodzić, wygłaszać, prowadzić, wieść ku...
„Król Duch" to Pędraczka najmilszy był temat,
A „Sen o potędze' go tulił do snu!

Po nocach to jedno marzenie wciąż niańczył,
Bo przyszedł nareszcie ten moment, ten czas —
Gdy zagra Pędraczek i naród zatańczy...
Ksawery na szczycie! Już widzi, że wlazł!

Dłoń podniósł do góry jak drążek batuty,
I, niby kogucik, wysokie wziął C —
Wtem zaczął się krztusić i przerwał w pół nuty —
Pędraczek — u diabła! Ksawery — co jest?

Atoli Pędraczek nie schodzi z estrady,
Próbuje da capo co sił i co tchu,
Lecz czuje, że chrypnie, że nie da już rady
I dusi się jakby płuc resztki już pluł!

Nie zrobić kariery? Nie wyróść z prostaczka,
Że brakło talentu? Geniuszu że brak?
O, bliźni! Nie znacie zupełnie Pędraczka!
Wszak można odmienić melodię i takt!

W ojczyźnie Pędraczka się nic nie zmarnuje —
Kto falset spartoli przejść może na bas!
Ważniejszym od siebie więc odtąd basuje
Pędraczek... I w szczęściu się kąpie po pas!..

W OSTATNICH PROCESACH W. I. N.-u WYMIENIA SIĘ CZĘSTO NAZWISKA CZOŁOWYCH DZIAŁACZY P.S.L-u.



Rys. Karol Baraniecki

A to pan zna?

JAN FORKASIEWICZ

Ilustr. Karol Baraniecki



Sam mieszkam w Koźminku, ale wuja mam w stołecznym mieście. Wielki to człowiek. Mówią o nim, że niby malarz, niby poeta, słowem, nie z tych, co to chodzą między chlewem a oborą.

Stoję przed oszklonymi drzwiami. Na drzwiach wizytówka: „Tadé Gąsiorek, artysta malarz". A w rogu ołówkiem: — „Przyjdę o trzeciej — Ziuta". Serce mi bić zaczęło, bo jak sami widzicie, wuj nie byle kto. A w ręku trzymam walizkę z prowiantem. Dwa kilo masła, mendel jaj, trochę boczku i wiśniówka.



Otwiera mi wuj, rzuca się na szyję i prowadzi do pokoju. Oglądam się dokoła, a tu żaden mebel na swoim miejscu nie stoi. Siedzimy z wujem, pociągamy wiśniówkę, a przed nami na stole moc różnych przedmiotów. Łyżka do butów, spleśniały ogórek, czerwone skórki od sera szwajcarskiego, a po środku, wyobraźcie sobie, nosem opierając się o prowiant leży kalosz podarty. Jakby go ktoś z nogi zdjął i między prowiant rzucił. Aż mnie zemdliło. Wyciągam rękę, żeby go zdjąć, a wuj krzyczy:

— Teosiu, nie ruszaj martwej natury!

— Jaka natura? — powiadam.— Przecież to kalosz.

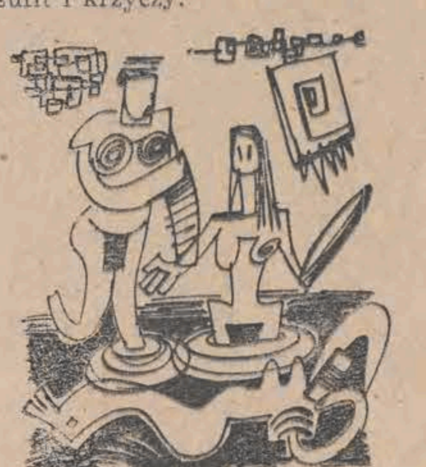
Pociągamy dalej. A tu patrzę z sufitu zawisa pajęczyna, a na niej chwieje się pająk. I celuje wprost na nas.

— Nie ruszaj — mówi wuj — to stworzenie przynosi szczęście.

Jak szczęście, to szczęście — myślę sobie — przecież rodzonemu wujowi źle nie życzę, ale żę tak powiem, zdrowiu to szkodzi i higienie sprzeciwia się.

— Brudno tu nieco — mówię — brak widać ręki kobiecej.

A wujek na to zerwał się z krzesła i huknął pięścią o stół tak mocno, aż tuman kurzu wzbił się pod sufit i krzyczy:



— Cóż ty smarkaczu z Koźminka przyjechałeś z odczytami o higienie i o ręce kobiecej mi prawisz. Lepiej od ciebie znam się na anatomii (i wyciąga z pod szafy rysunki nagich kobiet). Popatrz — powiada — co za ręce, a faktura jaka? Sam Rembrandt by się nie powstydził!

— Faktury — mówię — niczego sobie, ale pyłu pełno.

— Z pyłu powstałeś — mówi wujek — i w pył się obrócisz.

Prawdę mówiąc speszyłem się nie mało i już nawet za drzwi spojrzałem, kiedy wuj rękę położył mi na głowie i powiada: — Nie ruszaj się z miejsca! Cofnął się do okna, zaczął się we mnie wpatrywać: Główkę na lewo, trochę wyżej, o tak! Teraz dłoń podnieś. Kciuk w butonierkę, trochę sangwiny... i główka w charakterze, jak u Ingres'a!

Oniemiałem. Cóż to, wuj z rodzonego siostrzeńca wariata struga? A wujek mówi: — nie denerwuj się, Teosiu. Zaraz zreferuję ci portrecik, jakiego sam burmistrz w Koźminku nie posiada.

Nagle popatrzył na zegarek i krzyknął: za chwilę seans, a terpentyny nie ma. Posiedź trochę spokojnie, a ja skoczę do Gwaszyńskiego.

Siedzę, nie ruszam się i myślę sobie: co za seans i poco terpentyna? Czyżby wujek cierpiał na reumatyzm? Wtem otworzyły się drzwi i słyszę za sobą głosik kobiecy: — Dzień dobry kolego! Widzę mistrz głowę panu robi.

„Robi"?... Kark mi zesztywniał, nie ruszam się, a niewiasta tymczasem weszła za parawan i zaczęła się rozbierać. Najpierw stuknęły pantofle, zrzucone z nóg, potem pokazało się przerzucone przez parawan różowe dessous i jedwabne pończochy i znowu odezwał się głosik:



— Czy pozujemy razem?

Ładna historia! Ledwie weszła, a już proponuje mi pozowanie, a nadobitek szyja mnie boli i wuj zabronił mi się poruszać. Głosik pyta się znowu:

— Pan pozuje do martwej natury?

— Bo co?

— A bo pan siedzi, jakby pędzel połknął.

Rzucam okiem w stronę parawanu i myślę sobie: — poruszyć się, czy też nie? Już bym się odważył, ale wujek nadszedł. W ręku trzyma butelkę i mówi:

— Cóżeś tak do krzesła przyrósł? Lepiej pudełko to przepłucz w korytarzu!

Wziąłem puszkę od farby, a gdy wychodziłem z nią, mignęło mi wychylające się z za parawanu białe udo. Na korytarzu świeże powietrze uderzyło mi do głowy i wszystko jakoś zaczęło się plątać: kalosz, pajęczyna, wujek nacierający się terpentyną, niewiasta za parawanem. I nagle wyobraziłem sobie, że wujek siedzi z Ziutą przy stole i kończy wiśniówkę. To ci dopiero seans spirytystyczny! Gdzieżby ktoś o takim czymś w Koźminku pomyślał! Nie ma jednak jak duże miasto. Ale serce mi stuknęło mocno i rzekłem sobie: Teosiu, wróć do Koźminka! Przycisnąłem puszkę do farb i poszedłem za głosem serca.

A teraz siedząc pod jabłonką, w naszym sadku patrzę na puszkę od farb, zamienioną na wodopój dla kur, i myślę sobie:

— A jednak wuj nie byle kto. Nie z tych, co to chodzą między chlewem a oborą. Wielki człowiek. Bo któż jak on potrafi zrobić portret, jakiego nawet burmistrz w Koźminku nie posiada?

W ZWIĄZKU Z POGORSZENIEM SIĘ WYPIEKU CHLEBA



Rys. Zbigniew Kiulia

„chleba naszego poprzedniego daj nam dzisiaj..."

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

1 WRZEŚNIA

(W rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej)

Do was, panowie kruchego świata,
Chcę zakołatać!

Niech wam w pamięci znów się rozkrzyczy
Sens tej rocznicy!

Co dla was była zwykłą rachubą —
Nam niemal zgubą!

Nie chcemy w ogień leźć po raz wtóry
Z powodu Ruhry!

Jeszcześmy kości nie pozbierali
Z tamtej batalii!

Ten, kogo wy już zwiecie swym bratem,
Był naszym katem!

Wam śni się handel, chcecie targować —
A nam budować!

Nie odrywajcie dla żądzy złota
Rąk nam od młota!

Chcemy zachować o waszym czynie
Dobrą opinię!

Niech ZACHÓD znaczy na lat tysiące
Znów zachód słońca —

A nie, by stał się po kilku latach
ZACHODEM świata!!!...



Rys. Karol Baraniecki

Plaga egipska

TYLKO DLA MĘŻCZYZN



MĄŻ – DOWCIPNIŚ

— Mam pojutrze zabawę w chowanego — rzekł do mnie, szlochając, znany ze swego dowcipu Zdzisiek Roskosznik.

— Co przez to rozumiesz? — zapytałam zaskoczona.

— Jakto co? Pogrzeb. I to — dodał ze łzami—pogrzeb mojej ukochanej żony. Popełniła samobójstwo. Z premedytacją!

— Boże! To straszne! Czyżby postradała zmysły?

— Ach, skądże — uśmiechnął się blado Zdzisiek — zmysły miała w najzupełniejszym porządku, najlepszy dowód, że jeszcze niedalej jak pięć dni temu mieliśmy ze sobą bardzo udane „ocielenie się". Domyślasz się zapewne, co przez to rozumiem?

— Domyślam — odparłam ponuro. — — Więc jakiż był powód tego jej szaleńczego kroku?

— To nie był krok, to był skok z trzeciego piętra na bruk... A propos: czy znasz ten amerykański kawał o skoku z okna? Nie? Zaraz ci opowiem. Otóż pali ci się olbrzymi drapacz chmur. Na trzydziestym piętrze palącego się domu, staje w oknie facet i drze się, ażeby go ratować. Strażacy na dole odkrzykują mu, ażeby skakał na rozłożone prześcieradło. Facet skoczył, a strażacy w śmiech, bo prześcieradła nie było! Zachłysnął się śmiechem, ale momentalnie spoważniał i obtarł nos... — Ale muszę ci opowiedzieć dalszy przebieg wypadków. Otóż, już od jakiegoś czasu zauważyłem, że Zosia stała się jakaś nerwowa, nie siliła się nawet na śmiech jak dawniej, gdy jej opowiadałem jakiś nowy kawał. Brak poczucia humoru u kobiet to zresztą sprawa nagminna, któraż z nich go naprawdę posiada? Bywają kobiety „wcipskie" — ale nie „dowcipskie"! To była zresztą jedyna wada, którą jej naprawdę mogłem zarzucić. Otóż krytycznego dnia powiedziałem jej nawet rodzaj dowcipnego komplementu:

— Wiesz, Zosiu — rzekłem— wszyscy na mieście mówią, że się rozwodzę...

— Doprawdy? — ożywiła się.

—...nad zaletami własnej żony, he, he, he. Dobre, co? Czy myślisz, że raczyła się nawet choćby uśmiechnąć. Westchnęła i nic nie odparła. Żeby ją rozruszać, zapytałem się, czy wie jaka jest różnica między Demokracją a hegarem?

— Nie lubię reakcyjnych kawałów i reakcjonistów — rzekła ponura facetka.

W tym momencie przyszedł mi do głowy wspaniały kalambur:

— Czy wolałabyś, ażebym był „reakcjonistą Wassermana"? — zawołał rycząc ze śmiechu. Zosia widocznie nie zrozumiała, o co chodzi, bo tylko wzruszyła ramionami:

— Daj mi twoją kartę zamienną — rzekła po chwili — załatwię odrazu i twoją i moją.

— „Miej karty i patrz w karty!" — rzekłem dowcipnie, wręczając jej kartki.

Czy myślisz, że raczyła się uśmiechnąć?

Po obiedzie mieliśmy złożyć razem wizytę na Placu Kossaka u krakowskich znajomych. Ponieważ widziałem, że Zosia niebardzo się dobrze czuje, więc przystanęliśmy przed budką z wodą sodową:

— Poproszę o dwie lemoniady. Niech kosztują, co chcą! Raz się żyje! — zawołałem.

Zosia wypiła lemoniadę i poprosiła, ażeby pojechać taksówką.

— Proszę jechać na Koc Placaka numer cztery! — zawołałem dusząc się od śmiechu.

— Dokąd, proszę pana? — zapytał szofer również pozbawiony poczucia humoru jak moja biedna żona.

— Plac Kossaka — Koc Placaka —czy to nie wszystko jedno!

Wysiadając zanadto gwałtownie, potknąłem się i upadłem twarzą na bruk. Nie tracąc wrodzonego dowcipu, zawołałem: „Czołem". Nawet szofer roześmiał się a Zosia nic. Chwiejąc się na nogach, wysiadła z taksówki i cały czas podczas owej wizyty nie odezwała się ani słowem.

— No i co dalej!—zapytałam mocno zaciekawiona.

Przy kolacji siedziała jak mumia smutna i blada. Na kolację były gołąbki z kapustą. Ponieważ postanowiła nic nie jeść, więc chciałem jej przemocą wpakować gołąbka do ust, mówiąc przy tym świetny dowcip, że „pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki".

Bo trzeba ci wiedzieć, że uprawiam również i kawały sytuacyjne. Milcząc odsunęła moją rękę z gołąbkiem.

— Może wolisz co innego, rzekłem troskliwie — w kredensie jest jeszcze „ząb tenora" — czyli „kiełbasa".

Wówczas spojrzała na mnie jakoś dziwnie i wstała od stołu, strącając na ziemię serwetkę.

— Strącasz serwetkę, a to przecież zamiast „sera na wety" — powiedziałem wesolutko, ażeby ją trochę rozruszać. Jadłem dalej spokojnie, nie przeczuwając na co się zanosi. Zosia stanęła w otwartym oknie.

— Wyglądaj sobie, wyglądaj! Ładnie będziesz wyglądać! — zaśmiałem się, nie przypuszczając jak prorocze wygłaszam zdanie. Po chwili bowiem wyskoczyła z okna na bruk!

Zakończył swoje opowiadanie i głośno obtarł nos.

— Czy nie domyślasz się, moja droga — rzekł po chwili — co właściwie mogło być powodem jej samobójstwa? Bo ja doprawdy nie mam błękitnego pojęcia, i przecież, jak wiesz, nigdy nie byłem bity w ciemię, ale zgoła gdzieindziej...



WE FRANCJI ODNOTOWANO NOWĄ ZWYŻKĘ CEN, KTÓRA SIĘ DOTKLIWIE ODBIJE NA SFERACH PRACOWNICZYCH

(Z prasy)



Rys. Stanisław Cieloch

Człowiek z krótszą nogą

Zygmunt Fijas

Żądajcie świadectwa

Tramwaj prawie czołgał się z przemęczenia. Pasażerowie dusili się i nie mogli się udusić. Konduktorzy wołali wciąż: — Naprzód, na sam przód, proszę trochę miejsca dla pań! Głosy ich powodowały jeszcze większe zamieszanie: ci co mieli się przepychać do przodu, jęli się cisnąć do tyłu, ci zaś, co już przebyli tylny pomost, aby się dostać na przedni, postanowili dotrzeć do celu naobrębek, poprzez okna.

Było to przed jakimś ważnym wydarzeniem sportowym, coś Finowie przejeżdżali, albo znowu zamierzano trafić kogoś w łokieć butelką...

Ludzie w takich wypadkach zazwyczaj tracą głowę. Pokazują po sobie czym może być tłum, gdy składa się z samych egoistów. Popisują się zdolnością czynienia na złość ,przekładania swego interesu nad cudzy, wypominają sobie urodzenie, złorzeczą na ceny chleba, Rząd, intrygi sportowe... Nierzadko powodują grube skandale.

W naszym wypadku skandal spowodowała kobieta.

Czy może zazdrość, rywalka, odwieczny zew miłości? Przenigdy. Waga, wygoda, tusza i jeszcze raz waga. No, waga taka, że aż strach. Najmniej dziesięć pudów. Kulfon taki, że aż żal wyliczać. Jeden policzek waży najmniej 5 kg. Noga napewne sto funtów bez kości. Druga, ta, co przygniata konduktora, waży dwa razy tyle. Gdy weźmiemy pod uwagę tak zwany ciężar psychologiczny, noga ta waży napewno dziesięć razy tyle.

No, taki kafar pomnożony przez kadź ołowiu.

I, wyobraźcie sobie, że ta obfita jejmość rozpościera się po całym wozie. Uciska nawet tych ,co biegną obok tramwaju. Wyraża całym swym tułowiem oburzenie.

Przyczyną oburzenia to, że siedzący na ławce mężczyźni nie są rycerzami: nie ustępują miejsca damie, która stoi.

Oczywiście, gdyby jejmość pochodziła z ludu, niktby nie pomyślał o niej. Nawet gdyby była w ciąży. W tym wypadku, ponieważ dama była „kapeluszową", jakiś kibic ustąpił wreszcie.

Gdyby tramwaj jadący [illegible] był tylko taką sobie „placformą" z byle jaką sportową „slają", byłoby może dobrze. Niestety, w tym wypadku dobrze być nie nie mogło. Przede wszystkim ten, co siedział na kolanie tego, co klęczał, upadł na tego, co trzymał głowę tam, gdzie nie powinien trzymać ręki. Potem ten, co trzymał rękę tam, gdzie ten pierwszy trzymał buta, dał potężną fangę temu, co trzymał się tego, który ustąpił miejsca damie. Dalsza bijatyka rozegrała się po obaleniu tramwaju. To czytaliśmy w prasie...

I pomyśleć tylko...

Czy dama nie mogła stać! Musiała siedzieć? Musiała, bo tak napisał Mojżesz na górze Synaj! Ona, która mogłaby stać bez zmęczenia przez całą dobę i jeszcze mogłaby dźwignąć w jednej ręce mężczyznę. Ona musiała, bo ona była bezbronna. Stanowczo nasze towarzyskie przepisy muszą ulec modernizacji. Nie uwzględniają tzw. momentu wagi. Powstały ongiś, w epoce rycerskiej, kiedy dama nie wstydziła się nosić imienia Izoldy i miała wagę piórkową, ale stanowczo nie odpowiadają czasom wałka, patelni i magla. Dzisiaj Izolda draluje oficjalnie z naręczem bielizny, chełpi się swymi bicepsami i swego Tristana miałaby może ledwie na śniadanie.

Dojdzie do tego, że waga kobiet, jak w powyższym wypadku, przewyższy naszą, panowie! Wówczas my będziemy się musieli emancypować.

Biada ci wtedy ty, despoto, nie opuszczający siedzenia w tramwaju pod pozorem, że wracasz z nocnej szychty! Dama odwdzięczy ci się za to tyraństwo. Będziesz znowu stał w tramwaju przez jakie kilka tysięcy lat. Zobaczysz mecz z Szymurą. Pokażą ci jego łokieć.

Nie mam jakichś konkretnych projektów w tym względzie. Uważam jednak, że nie wszystkie kobiety są bezbronne i nie wszystkie słabe. Znamy takie, które umiałyby potoczyć koło tramwajowe do samego Tuszynka, a oburzają się, gdy mężczyzna powracający z kopalni siedzi na jednym centymetrze kwadratowym ławki.

Stanowczo musimy tutaj coś zmienić. Mężczyzno, chroń się. Savoire-vivre winien uwzględnić moment siły. Wstawajcie ze swych miejsc tylko na okazane świadectwo lekarskie.



(„Srsen")

On: Popatrz, faun obejmuje faunę!
Ona: Nie blamuj się! Chciałeś chyba powiedzieć — satyr obejmuje satyrę!



— Mówisz, że on już niejednego w naszej dzielnicy położył? Przecież to cherlak!
— Tak, ale z Komisji Specjalnej...



Rys. Wacław Lipiński

— Patrzcie, patrzcie, ona przyjechała nad morze żeby się kąpać!



(„Liliput")

Rysunek bez podpiesu.

AAGE v. HOVMAND

Parę polecenia godnych sposobów głaskania psa,

Czy należycie do tego rodzaju ludzi, którzy nie mogą spojrzeć na psa, żeby go nie pogłaskać? Jeżeli tak, to może będzie dla was korzystne, jeżeli posłuchacie kilku wskazówek o sztuce głaskania psów.

Psy mogą być złośliwe, trzeba zatem zastosować technikę ostrożnego głaskania.

Głaskane psy zachowują się często jak ludzie pijący: jedni stają się coraz weselsi, inni gniewają się coraz bardziej.

Psy złośliwe i pełne temperamentu.

Jeżeli chcecie pogłaskać złośliwego psa, wówczas ryzykujecie ukąszenie jedynie z początku. Musicie szybko zacząć go głaskać i potem nie przerywać głaskania.

Psy z temperamentem można głaskać z początku do woli, a potem szybko przerwać, gdy bestia jest już tak zła, że może ugryźć.

Duże i średnie psy.

Głaskanie dużego psa, daje głaskającemu, bez wątpienia największe zadowolenie. Z drugiej strony wymaga jednak większej rutyny, pod warunkiem, że pies to spostrzeże. Jeżeli jest się doświadczonym „głaskaczem" można głaskać, aż do utraty tchu.

Jeżeli pies stara się was ugryźć lub skoczyć na was wówczas głaskanie sprawia pewne trudności. Dlatego trzeba przytrzymać głowę psa między kolanami i prosić kogoś by trzymał go za ogon. Wtedy można go głaskać wygodnie i bez obawy.

Czasami pies daje do poznania, że ma już dosyć, lecz należy to kłaść na karb skromności.

Jeżeli ma się do czynienia z psem wyjątkowo wielkim i silnym może sie okazać korzystnym przywiązanie go do drzewa, słupa od latarni lub tp.

Istnieją psy tak wielkie i dzikie że większość ludzi obawia się ich dotknąć. Dla zapalonego „głaskacza" głaskanie takiego psa stanowi oczywiście wyjątkową przyjemność.

Należy podkraść się do bestii, przywiązać ją do tramwaju, wziąć samemu taksówkę i jechać obok. Wychylając się z okna samochodu możecie głaskać biegnącego za tramwajem, psa.

Małe pieski.

Technika głaskania małych piesków jest zupełnie odrębna.

Nawet sposób zwracania się do nich powinien być inny. Jeżeli przemawiając do dużego psa używa się tonu zdecydowanego, rzekomo dla ośmielenia bestii, lecz w rzeczywistości dla uspokojenia własnego strachu, to przemawiając do małego pieska trzeba mówić serdecznie i łaskawie, często pomrukując.

Ponieważ małe psy są niższe od wielkich, trzeba się ku nim więcej nachylać w czasie głaskania. Jest to męczące i powoduje ból w krzyżach, dlatego też zaleca się uklęknąć.

Jeżeli (szczególniej w zime) trotuar jest wilgotny, trzeba ze względu na spodnie — mieć ze sobą szalik dla podłożenia pod kolana.

Głaszcząc wiekszą ilość małych psów można sobie zupełnie powycierać spodnie na kolanach, dlatego w takim wypadku dobrze jest nosić ze sobą nadymaną poduszkę.

Poduszka musi być jednak zawsze nadmuchana, gdyż jeżeli zacznie się ją nadymać dopiero po zobaczeniu psa, właściciel jego może się zniecierpliwić i zabrać psa.

z duńskiego tłum.

Benedykt Brykczyński

MIĘDZY NAMI

Łucja Krawczyk (Łódź). Pisze pani: „ja, Panie Redaktorze, jestem taka jakaś, że to, o czem marzę, potrafię zawsze utkać za pomocą poezji, jak na przykład:

Wbrew złośliwym życię przędzie
kolorowy, piękny cud...
Ból, łzy, smutek, szczęście będzie
w bajce, którą życie przędzie
na krosienkach złud...

Ponieważ prosi nas o ocenę, radzimy: niech pani nie tka za pomocą poezji. Jeżeli naprawdę pani potrafi, niech pani przędzie u Scheiblera. Pożądane — na sześciu prawdziwych krosnach.

„Niepodpisany" (Toruń). Niepodpisany? Bardzo słusznie. Nie było pod czem.

Józef Mrowiec (Gdańsk). „Jestem pewny — utrzymuje pan — że Redakcja będzie zadowolona, bo chumoreska kosztowała mnie dużo trudu".

Nieprawda. Redakcja nie jest zadowolona. Bo ma dobre serce i nie lubi jak ktoś się napróżno trudzi.

„Czarodziejka" (Warszawa). Nie mamy przyjemności znać pani osobiście, ale na podstawie tego, co pani nadesłała, proponujemy zmianę pseudonimu. Np. na „Czarownica".

„Odaliska z Serocka". Bardzo podobają się pani utwory Ludwika Jerzego Kerna, wobec czego chwali go pani następującym wierszem:

Ty nie wirujesz w rytm swingów,
/ foxtrottów,
ani przed nikim nie gniesz się
/ w ukłonach,
tęsknisz jak orzeł do wysokich lotów,
aż tam, gdzie w śniegu lśni się gór
korona...

No, to już lekka przesada. Znamy dobrze naszego Ludwika Jerzego i wiemy doskonale, że aż tak „wysoko" to on nie tęskni. Dla informacji: przedmiot jego tęsknoty mierzy zaledwie 1.72 cm. i lśni w koronie nie tyle śniegu, ile bardzo jasnych włosów.

Tadeusz Lenc (Bytom. Nadesłał pan parę dowcipów:

TRUDNO SPOSTRZEC

— Podobno byłeś na przyjęciu w ambasadzie? — pyta obywatelka Z. swego znajomego, posła M.

— Byłem — odpowiada poseł — Siedziałem obok żony jednego attache.

— Co ty powiesz? Żony attache? Jaką miała suknię?

— Nie wiem. Nie miałem okazji zajrzeć pod stół.

— Pod stół? Dziwi się obywatelka Z.

— No, bo nad stołem nie było widać sukni, tylko dekolt.

PO CO?

Pewna artystka spotyka na ulicy obdartego żebraka.

— Jestem głodny—jęczy żebrak.—Nic od tygodnia nie jadłem...

—Co za biedak! Poczekajcie, zawołam męża!

Żebrak spogląda na artystkę i wzrusza ramionami:

— Męża? — powiada — A po co? Ja nie jestem ludożercą.

PRZYCZYNA

— Wiesz — mówię do przyjaciela — że ten Zygmunt Kornacki, ile go razy zobaczę, to pęka.

— Tak utył?

— Nie, ze śmiachu.

Bardzo dziwimy się Zygmuntowi Kornackiemu.

Krystyna Wojnicz-Kulikówna (Poznań). „Przyznacie chyba, że rysunki moje nie są być może nadzwyczajnie wykonane, ale wesołe?"

Przyznamy nawet więcej. Że również nie są wesołe.

Stanisław Kulisz (Gdynia). *Napisał* pan fraszkę pt. „Literatowi":

Napisz nareszcie jakąś powieść
a najlepiej to się powieś...
na szyi ładnej dziewczyny,
dla której będziesz jedyny.

Ponieważ nadesłał pan również kilka wierszy, nazwanych przez siebie „próbami literackimi", zachęcamy gorąco do skorzystania z rady udzielonej we fraszce, oczywiście, w tej części, która nie dotyczy napisania powieści.

Jarosław Ibruk (Zakopane). W utworze swoim użył pan osiem razy **do cholery!**, cztery razy **do diabła!** i trzy razy **do licha!**

A my na to wszystko jeden raz — do kosza!

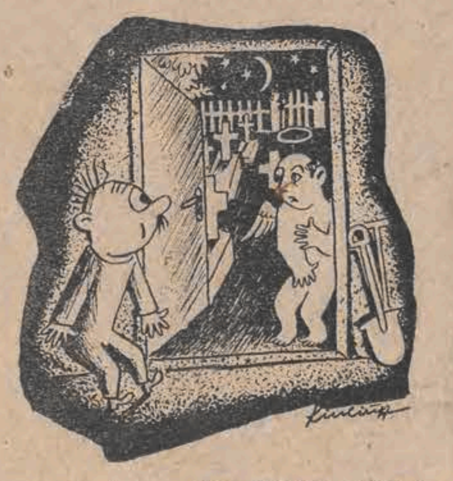
„Niezapominajka" (Jelenia Góra). Cierpliwości. O „Niezapominajce" — nie zapomnimy.

Tad. S-ki (Wałbrzych), L. K. (Katowice), Kos (Dąbrowa), Leon Kański (Radom), Tom-my (Warszawa), Antoni Pilecki (Polanica) — nie skorzystamy.



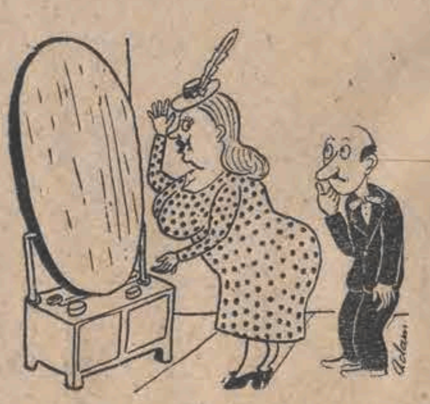
Rys. Janusz Zarębski

— Ile ty masz lat, chłopcze?
— Dokładnie nie wiem, bo gdy się urodziłem, to mamusia miała 28 lat, a teraz ma 24...



Rys. Zbigniew Kiulin

— Czy nie mógłby mnie pan przenocować, tam coś straszy...



— Nieprawda, Adasiu, że w tym kapeluszu jestem o wiele szczuplejsza?



Rys. Adam Bieńkowski

— Pan już przy biurku? Przecież urlop panu się jeszcze nie skończył?
— Tak, ale ciałem po nim trochę odpocząć...

„Rózgi" ukazują się co tydzień. — REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-20, wewn. 8. Przyjmuje się codziennie od godz. 12 — 2. Wydaje R. S. W. „Prasa", Łódź, Żwirki 17 — tel. 208-42. D-015875